

Raport ze środka cyfrowej hiperrewolucji. Rzecz o technorealizmie



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Jest już za późno na technologiczne „wielkie spowolnienie”. Wyjściem nie jest też technoentuzjazm, który ignoruje nadejście nowego barbarzyństwa. Oto siedem zmian, do których powinni dążyć technorealiści

Już 60 lat temu Marshall McLuhan przekonywał, że każda wielka zmiana technologiczna powoduje transformację człowieka i społeczeństwa. I choć w niektórych szczegółach błądził, co do istoty miał rację. Żyjemy obecnie w samym środku takiej właśnie zmiany. Jest ona najbardziej gwałtowna ze wszystkich transformacji technologicznych, jakie ludzkość dotąd przechodziła. Nieświadomość jej trajektorii i konsekwencji czyni nas przedmiotami tego procesu. Rzecz w tym, żeby zwalczyć o podmiotowość, zaczynając od próby zrozumienia.

Rewolucja? To za małe słowo

Cyfrowa transformacja technologiczna naszych czasów odciska się na wszystkich dziedzinach życia. W szczególności warto zwrócić uwagę na trzy główne: funkcjonowanie człowieka, strukturę społeczną i dynamikę międzynarodową. Wymiar antropologiczny tej transformacji to przede wszystkim zauważany przez rosnącą liczbę badaczy – nowy kolektywizm. Obarczony

olbrzymim i bezprecedensowym nadmiarem informacji i bodźców człowiek szuka – i znajduje – bezpieczeństwo (lub jego poczucie) w specyficznych formach wspólnotowości. Francuski socjolog prof. Michel Maffesoli opisał je w pracy „Czas plemion” jako neotrybalne. Zrobił to jeszcze przed erą internetu (nieco podobnie jak wspomniany McLuhan jeszcze wcześniej mówił o nowej plemienności, choć faktycznie objaśniał „tylko” nowy kolektywizm), lecz cyfryzacja potwierdza i wzmacnia jego wnioski. Na każdym kroku możemy obserwować w świecie rozwiniętym erozję indywidualizmu i tradycyjnych wspólnot na rzecz neotrybalizmu: mniejszych zbiorowości opartych na kolektywnej świadomości, grupowych emocjach i gustach, narcyzmie środowiskowym. Są one ainstytucjonalne i mało wrażliwe na tradycyjny dyskurs logiczny. Wyżej cenią multimedialność, wielozmysłowość i oralność od kultury pisma. Są politycznie podatne na paniki moralne, agitację populistyczną i autorytarną. Stąd z perspektywy zwolenników tradycyjnej

logiki i kultury pisma mogą się wydawać irracjonalne. Mają jednak własną, wewnętrzną oraz historyczną racjonalność i logikę działania.

Za transformacją człowieka idzie – siłą rzeczy – transformacja społeczeństwa. Dawne społeczeństwo „mechaniczne”, z człowiekiem jako trybem racjonalnie zaplanowanej i zarządzanej maszyny, ustępuje miejsca społecznościom „organicznym”. Nie mają one jednak póki co własnych wizji instytucjonalnych ani silnego spoiwa ponadplemiennego, korzystają więc z zastanych. Przekształcając je stopniowo i chaotycznie zgodnie ze swą logiką działania. Jak w związku z tym zauważyła socjolog prof. Marta Bucholc, nie można więc mówić o społeczeństwie neoplemiennym, należy – o społeczeństwie neoplemion. Witajcie w nowym świecie, w którym proces rządzenia przekształca polityka w „aktora w masce woźnicy”, jak to ujęła wspomniana badaczka. „Zarządza, ale w takim sensie, w jakim zarządza się rozwydrzonymi dziećmi. Można je doprowadzić tylko tam, gdzie same chcą pójść, choć nie są w stanie powiedzieć, gdzie to jest”.

Wpływ wielkiej cyfrowej transformacji na arenę międzynarodową jest wieloraki, z konieczności skupmy się tu na kilku jego wybranych aspektach. Po pierwsze, cyfryzacja jest kolejnym polem bitwy XXI w., zarówno gdy chodzi wdrażanie sztucznej inteligencji do zarządzania dromami czy satelitami, jak i w kwestii wyścigu gospodarczego. Po drugie, istnieje możliwość, że jedno państwo lub ich grupa zdystansuje pozostałe w dziedzinie cyfryzacji, tworząc ekstraklasę przeważającą nad resztą za pomocą nowych narzędzi dominacji. Po trzecie, tworzy to zatem rzeczywistość swoistego cyfrowego wyścigu zbrojeń, z miażdżącą sceptyków presją

na to, by przynajmniej nie przegrać i nie odpaść.

Że tempo tych zmian jest bezprecedensowe, to już banał. By wyjść poza niego, porównajmy pokrótce cyfrową transformację z inną wielką zmianą technologiczną – rewolucją druku. Od wynalezienia maszyny drukarskiej do pełnego wybrzmienia powszechnie przypisywanego jej społecznego skutku stworzenia nowoczesnych nacjonalizmów minęło 400-500 lat. Dojście do stosunkowo wczesnej, choć już rewolucyjnej fazy tworzenia i konsolidacji państw narodowych zajęło około

Istnieje możliwość, że jedno państwo lub ich grupa zdystansuje pozostałe w dziedzinie digitalizacji, tworząc ekstraklasę przeważającą nad resztą za pomocą nowych narzędzi dominacji

300 lat. Obecnie porównywalne zmian związane z cyfryzacją zajęły mniej więcej 30 lat. Możemy więc w przybliżeniu mówić o dziesięciokrotnym wzroście tempa transformacji. I wielu pomniejszych rewolucjach w obrębie tego procesu: przecież rzecz nie tylko w samym rozpowszechnieniu się internetu, ale też w mediach „społecznościowych”, smartfonach, ekspansji SI. W rzeczy samej, jeśli wynalezienie i popularyzacja druku były rewolucją, to transformacja cyfrowa jest hiperrewolucją. Ze względu na kombinację tempa i głębi zmian skrajnie trudną do okiełznania.

Szkodliwość technoentuzjazmu

Czy pragniemy więcej niepewności i chaosu, związanych z nimi chorób psychicznych, samobójstw i niepokojów społecznych? Chcemy upadku kultury pisma zanim – jeśli w ogóle – powstaną sensowne alternatywy? Dążymy do zaniku w kolejnych pokoleniach zdolności samodzielnego i racjonalnego myślenia, koncentracji, samokontroli? Pragniemy więcej internetowych barbarzyńców, zalewających każdą istotną dyskusję potokiem agresji i wyzwisk, aż do zupełnej marginalizacji w debacie ludzi racjonalnie zatroskanych o dobro wspólne? To pytania, mogłoby się wydawać, retoryczne. Jednak to właśnie twierdzące odpowiedzi na nie wszystkie – i wiele podobnych tu niewymienionych – oferują nam w istocie wszelkiej maści technoentuzjaści. Każący radośnie zanurzyć się w wirze zmian, często z quasi-religijnym zapałem (samym w sobie zawsze podejrzanym) zachwalający bezmiar korzyści z wielkiej cyfrowej transformacji ludzkości, na uwagi o ubocznych reagują z reguły komunałami o podobnych zjawiskach związanych jakoby z wdrażaniem kolei czy alfabetu. Ignorując oczywiście bezprecedensowość obecnej hiperrewolucji. I nie oferując nam tu w istocie nic ponad wielkie „jakoś tam będzie”, typowe zresztą dla ich bezmyślnego usposobienia.

Korzyści są ewidentne, a sam żywioł historyczny – raczej nieuchronny. Nie zmienia to tego, że skutki uboczne są niezwykle poważne i groźne. Nie jest przypadkiem znany fakt, że szefowie technologicznych gigantów, zachęcający masy do maksymalizacji użytkowania urządzeń cyfrowych, własnym dzieciom ściśle dostęp do nich limitują. A w ich ślady idzie coraz więcej, jak się wydaje, pracowników niższego szczebla. Nie czynią tego raczej

w oderwaniu od coraz dokładniejszej wiedzy naukowej o dewastującym wpływie nielimitowanego użytkowania urządzeń cyfrowych na mózg i osobowość, nieodwracalnym w przypadku dzieci poddanym dłuższej ekspozycji na ich bodźce. Jak pokazują prof. Adam Alter czy prof. Natasha Dow Schüll (z perspektywy badaczy i krytyków), a z drugiej strony np. Nir Eyal (z punktu widzenia projektanta) –

Chcemy upadku kultury pisma zanim – jeśli w ogóle – powstaną sensowne alternatywy?

są to technologie uzależniające. W podobny sposób do hazardu, ze związanym z nim „transem” i utratą kontaktu z rzeczywistością. Jak z kolei dowiodł w swoich badaniach prof. Manfred Spitzer, nielimitowane korzystanie z urządzeń cyfrowych niszczy potencjał intelektualny, zdolność koncentracji, osłabia pamięć. I jest szczególnie groźne dla dzieci i młodzieży. Podobne wnioski przedstawił sumujący wiele prac naukowych Johann Hari, tak samo jak Nicholas Carr, zwracający dodatkowo uwagę na nie tylko funkcjonalne, ale i strukturalne (anatomiczne) zmiany w mózgu zachodzące w wyniku wysoce cyfrowego stylu życia i konsekwencje społeczne w postaci płytkiego myślenia oraz płytkiej kultury. Choć może „prymitywne” byłoby tu właściwszym określeniem.

Każda rewolucja powoduje redystrybucję dostępnych zasobów i rekonfigurację ścieżek ich tworzenia. Cyfrowa hiperrewolucja tworzy gigantyczną asymetrię informacyjną między elitami a ludem,

w szczególności między elitami rządzącymi i kierownictwem big tech a ludem. A także pogłębia nierówności dochodowo-majątkowe. Powstaje więc nowy krajobraz społeczny ze znacznie silniejszą relatywnie elitą polityczno-biznesową i znacznie słabszym ludem. Czy demokracja liberalna może w tych warunkach przetrwać? Wspomniany McLuhan już w latach 60. ubiegłego wieku twierdził, że nie (nie znając jeszcze internetu, lecz antycypując w pracy „Zrozumieć media” częściowo jego fenomen, który wiązał z telewizją przyszłości). Warto byłoby przynajmniej poważnie rozważyć jego argumenty, zamiast łykać jak pelikany każdą nową wizję powszechnej szczęśliwości z Doliny Krzemowej. Zwłaszcza, że raczej nie przypadkiem od dwóch dekad kto tylko chce, może dostrzec globalny odwrót liberalnej demokracji. Wielu wita go z radością z powodu krytycyzmu wobec tego systemu rządów. Nie wdając się teraz w tę dyskusję, pozostaje jednak pytanie o jakość i kształt alternatyw. Na ile wolności będziemy mogli w nowym świecie liczyć? Co miałyby skłonić cyfrowych władców do bycia dobrymi autokratami, a nie tyranami korzystającymi z coraz bogatszej palety narzędzi współczesnej inwigilacji i manipulacji, by uczynić z nas nowych chłopów pańszczyźnianych? Czy nie za rzadko się nad tym zastanawiamy?

Spóźnienie technosceptycyzmu

W każdym razie wszelkie formy bezrefleksyjnego technoentuzjazmu są w świetle powyższego wysoce szkodliwe społecznie i jako takie zasługują wyłącznie na zdecydowane odrzucenie. Czy rację mają zatem technosceptycy, tacy jak prof. Andrzej Zybertowicz? Ów socjolog-polityk głosi, że cyfrowa transformacja jest zbyt szybka, głęboka i słabo rozumiana, by obyła się

bez katastrofalnych skutków. Postuluje w związku z tym „wielkie spowolnienie”, by zyskać czas na pojęcie i okiełznanie tego procesu. Wszystkie jego główne uwagi są moim zdaniem słuszne. Jednak warstwa postulatywna jest nierealistyczna. Sprawy zaszły już bowiem za daleko. Wspomniany Alter szacował (w 2016 r.), że już około połowy populacji krajów rozwiniętych jest cyfrowo uzależniona. Digitalnych barbarzyńców spotykamy codziennie w internecie, a skutki ich działalności obserwujemy w polityce i życiu społecznym, a rosną właśnie miliony nowych, silniej uzależnionych i intelektualnie zdewastowanych,

Powstaje nowy krajobraz społeczny ze znacznie silniejszą relatywnie elitą polityczno-biznesową i znacznie słabszym ludem

chowanych przed ekranami nieświadomych konsekwencji rodziców. Władza polityczna już posiada nowe narzędzia inwigilacji oraz behawioralnego sterowania i nie ma racjonalnych przesłanek po temu, by sądzić, że ich nie używa. Afery takie jak NSA czy Pegasus wskazują natomiast na coś dokładnie odwrotnego. I tak dalej. Dodatkowo, wspomniany cyfrowy wyścig zbrojeń tworzy przemożną presję na to, by transformacja dalej trwała – i to szybko. Mówiąc krótko: walka o zapanowanie nad cyfrową hiperrewolucją została już przegrana jakiś czas temu. To, co możemy zrobić w środku wielkiej transformacji, w którym jesteśmy, to przegrupować się i przygotować do następnych bitew. Do

moderacji procesu, który już od dekad trwa, tworząc nowy świat.

Czekanie na wielki kataklizm, który będzie swoistym cywilizacyjnym katharsis, jak proponuje Zybortowicz, jest przy tym złudne. Taki moment nie musi wcale nadejść, co najmniej równie dobrze możemy się spodziewać dalszego „gotowania żaby”. W takiej sytuacji technosceptycyzm doprowadzi zapewne do iluzji „chwalebnej izolacji” lub fatalistycznego „umierać po woli!”.

Technorealizm. Ale jaki?

Zamiast tego warto więc postawić na technorealizm. Doceniający oczywiste korzyści cyfrowej transformacji w rodzaju skrócenia komunikacji z tygodni do minut czy łatwego dostępu do olbrzymiej bazy wiedzy. A może nawet takie jak bankructwo oświeceniowej utopii doskonale racjonalnego społeczeństwa-maszyny. Dostrzegający historyczną nieuchronność procesu, który zaszedł już tak daleko. Ale widzący też zagrożenia. W szczególności niebezpieczeństwa wzbierającego cyfrowego barbarzyństwa, sprymitywizowanego myślenia i kultury, w tym kultury politycznej. Może ono przecież zniszczyć lub nieodwracalnie zubożyć wszystko, co nam w tradycyjnej cywilizacji zachodniej drogie. Trzeba się przed tym bronić – i to bronić aktywnie. Przygotowując jednocześnie do większej kontrofensywy, gdy nadejdzie na nią czas.

Mówiąc krótko, problem hiperrewolucji cyfrowej warto na starcie przepuścić przez arystotelesowski filtr umiaru. Rozumienie tej kategorii przez jednego z największych myślicieli w dziejach Zachodu dobrze oddaje metafora strzelca i złotego środka z „Etyki nikomachejskiej”. Do celu, jakim jest centrum tarczy, wiedzie tylko

jedna droga. Ideał umiaru polega na takim zważeniu racji, by ją odnaleźć. Nie jest to więc (a w każdym razie nie zawsze) zwykłe „bycie pomiędzy” przeciwnymi stronnictwami, a szukanie najlepszej drogi.

W naszej sytuacji życia w środku hiperrewolucji cyfrowej ścieżka niewybrania jej jest po prostu niedostępna. Możliwa i pożądana jest minimalizacja negatywnych skutków i maksymalizacja pozytywnych. Wiodą do niej dwie drogi: indywidualna i systemowa.

Walka o zapanowanie nad cyfrową hiperrewolucją jest już przegrana od jakiegoś czasu

Osobiście, cieszę się z mnóstwa dobrodziejstw cyfrowej transformacji. Korzystając z nich z umiarem, jak sędzę. Kocham moje dzieci, więc ściśle limituję im dostęp do urządzeń cyfrowych, zgodnie z zaleceniami prawdziwych specjalistów (a nie szarlatanów sponsorowanych przez Big Tech) – i obserwuję, jak – póki co – kwitną, uzyskując coraz większe przewagi nad większością swoich rówieśników. Kocham mądrość, więc uzyskuję tani i szybki dostęp do najlepszego dziennikarstwa i ekspertyzy z całego będącego w moim zasięgu językowym i czasowym świata. Kocham muzykę, więc wraz z jej cyfryzacją otaczam się nią przez cały dzień, chłonąc nieprzebrane piękno. Kocham samokontrolę, więc i sobie limituję dostęp do urządzeń cyfrowych, by nie wpaść w trans uzależnienia. I tak dalej. Chcę powiedzieć, że indywidualne „włączenie umiaru” jest dla człowieka wychowanego w świecie

przeddigitalnym względnie proste, jeśli tylko zdobędzie potrzebną po temu wiedzę. Ogromnym niepokojem wypełnia mnie natomiast obserwacja dewastacji intelektualnej, moralnej i społecznej, jaką nieumiarkowane korzystanie z cyfryzacji czyni wokół mnie. Nie chcę żyć w świecie nowoczesnego barbarzyństwa, nie chcę, by w żyły w nim moje dzieci i dzieci moich przyjaciół. Ale wiem już, że nie mamy innego wyjścia.

Siedem zmian systemowych

Musimy więc poświęcić wiele uwagi kwestiom systemowym. Tylko tak możemy mieć nadzieję na przejście z fazy biernej obserwacji cyfrowej transformacji do zarządzania nią, na ile to możliwe. Można to zrobić wyłącznie poprzez politykę. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma sensu działalność intelektualna czy pozarządowa w tym zakresie, wręcz przeciwnie. Po prostu ostatecznym celem muszą być zmiany polityczne, bo tylko za ich pomocą można wywołać najważniejsze efekty systemowe. Tak więc technorealistyczna działalność intelektualna czy społeczna muszą finalnie dążyć do wywierania wpływu na rządzących i stanowienie prawa. Widzę 7 głównych zmian, do których należy dążyć.

Po pierwsze, wprowadzenie limitów wiekowych i ilościowych w korzystaniu z urządzeń cyfrowych. Kiedyś sądzono, że palenie papierosów jest nieszkodliwe, potem przyszedł szok związany z poznaniem prawdy i poddanie procederu ścisłym regulacjom. W kwestii cyfrowej transformacji jesteśmy na etapie powolnego odkrywania jej rzeczywistych skutków. Wiemy już wystarczająco dużo, by żądać zgodnego z rzetelnymi badaniami wprowadzenia zakazów i limitów wiekowych używania technologii digitalnych, tak jak

ograniczamy nieletnim możliwości spożycia alkoholu czy używania broni. Warto zresztą pamiętać, że cyfryzacja jest także potencjalnym uzależnieniem i bronią.

Po drugie, powinniśmy żądać ujawnienia algorytmów, których Big Tech używa do selekcji treści i zarządzania naszymi wyborami. Dyskrecja w tej dziedzinie oznacza arbitralną władzę, której nigdy świadomie nie powierzyliśmy.

Kocham moje dzieci, więc ściśle limituję im dostęp do urządzeń cyfrowych, zgodnie z zaleceniami prawdziwych specjalistów (a nie szarlatanów sponsorowanych przez Big Tech)

Po trzecie, Big Tech należałoby obarczyć zakazem inżynierii społecznej. Zarabianie pieniędzy na cyfryzacji jest świętym prawem biznesu. Modelowanie zachowań ludzi, przekształcanie struktur społecznych, wdrażanie swoich wizji powszechnej szczęśliwości – nie. Dziś dzieje się to w sposób permanentny. Jest to faktyczna uzurpacja olbrzymiej władzy. Trzeba dążyć do jej zakończenia.

Po czwarte, Big Tech powinien zostać poddany znanym z przeszłości a dostosowanym do przyszłości rygorom antymonopolowym. Celem powinna być redukcja do poziomu uniemożliwiającego korumpowanie rządów i prowadzenie samowolnej inżynierii społecznej.

Po piąte, działalność Big Tech należy poddać państwowo-narodowej (względnie quasi-państwowej w przypadku Unii Europejskiej) kontroli. Już za miesiąc, akurat na inaugurację nowego roku szkolnego,

Działalność Big Tech należy poddać państwowo-narodowej (względnie quasi-państwowej w przypadku Unii Europejskiej) kontroli

moglibyśmy uchwalić w Polsce prawo uniemożliwiające jakimkolwiek nowym mediom społecznościowym funkcjonowanie nad Wisłą bez uprzedniego spełnienia określonych warunków naszego rządu. Do tego samego należy dążyć w odniesieniu do tych już działających. Państwowa kontrola ma wiele wad, jednak tylko ją mamy w batalii o kontrolę nad cyfrową transformacją.

Po szóste, edukacja. Nie tylko umowne „przysposobienie cyfrowe” powinno zostać

starannie przygotowane i wprowadzone jako obowiązkowy przedmiot na wszystkie szczeble edukacji. Potrzebne są szeroko zakrojone i masowe programy edukacyjne w mediach i akcjach kulturalnych.

Last but not least, samoorganizacja. Potrzebujemy ośrodków intelektualnych i aktywistycznych dążących do odzyskania kontroli, wystarczająco silnych, by wywierać skuteczny wpływ polityczny na jego rzecz. Warto zacząć od wzmacniania już istniejących, mających dorobek i wiarygodność. Ale i uważnie śledzić i wspierać kolejne, jeśli będą powstawać. Mający świadomość wagi sprawy ludzie powinni się łączyć (również za pomocą technologii cyfrowych, rzecz jasna) i organizować w lobby. Począwszy od nacisków na miejscową szkołę, która pozwala dzieciom na nielimitowany dostęp do ekranów lub ma niejednoznaczne standardy w tej dziedzinie, poprzez politykę krajową, na akcjach międzynarodowych skończywszy.

Nic z tego nie będzie łatwe. Na przeszkodzie stoją bowiem potężni gracze i procesy. Jednak tylko ambitne zamierzenia i jasne wizje stanu docelowego umożliwią nam osiągnięcie czegokolwiek i uniknięcie losu bezwolnych narzędzi cyfrowej hiperrewolucji.